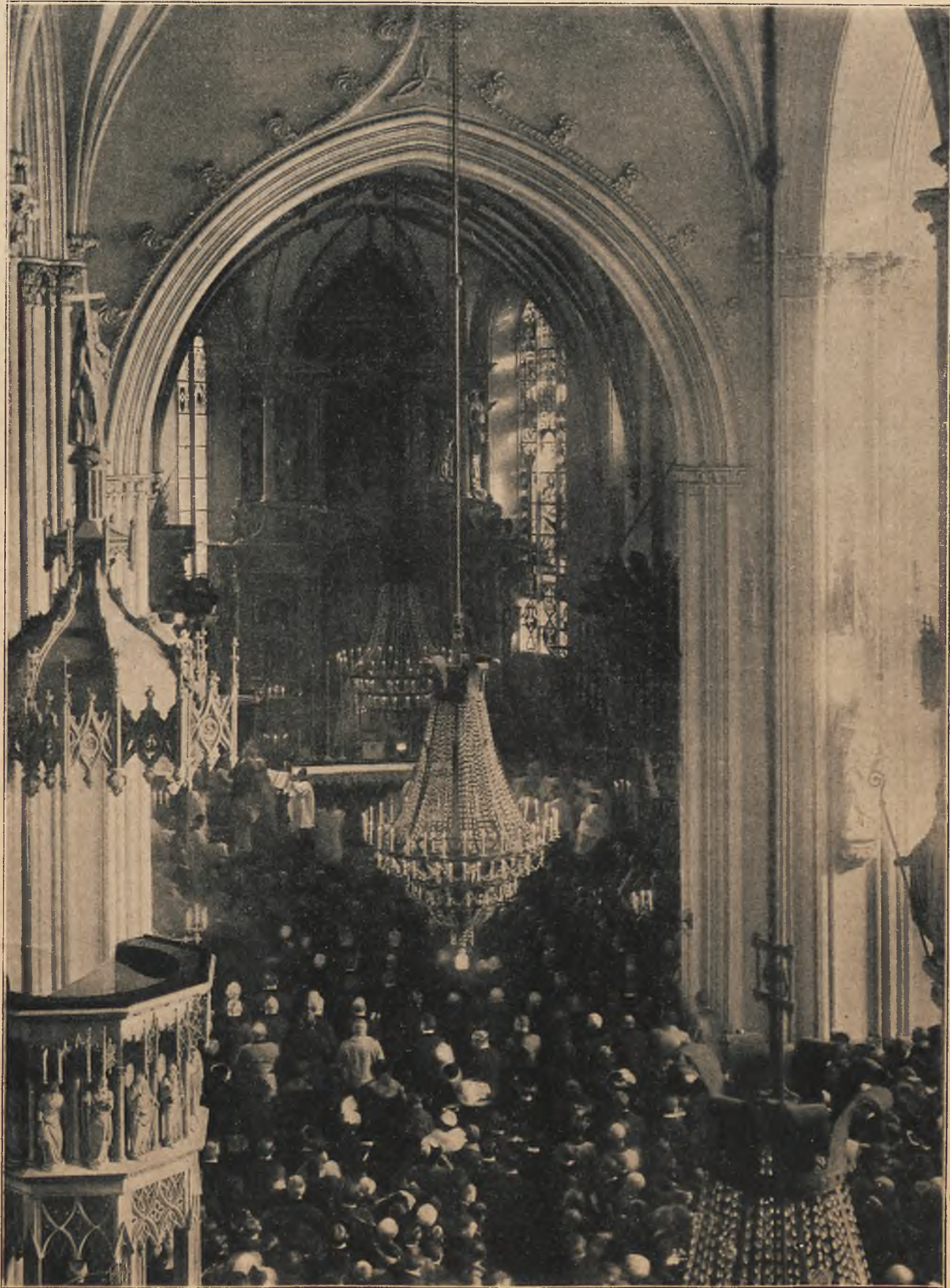


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



Uroczyste nabożeństwo w kościele św. Jana w dniu otwarcia Uniwersytetu i Politechniki w Warszawie, 15 Listopada 1915 r.



## NASZ UNIWERSYTET.

Jest to tak, jakbyśmy po długiej i męczącej podróży wrócili do zagrody, która nam się z prawa należy, więc nie dziwi nas zbytnio, że w niej osiadamy. Wędrowaliśmy po cudzych domach, hotelach, ale zawsze czuliśmy, że mamy swój własny, ojcowski, prawowity dom, gdzie należy nam się być gospodarzami.

Przez szereg lat stał u nas w Warszawie taki hotel oświaty, uniwersytet z obcym językiem wykładowym. Ani na chwilę świadomość nasza narodowa i kulturalna nie zapomniała, że poza tym hotelem jest w nas samych najprawowitsze prawo do takiej uczelni, gdzieby nasz tysiącletnio-cywilizacyjny język był sobie gospodarzem i panem. Prawo i słusność do tej własności spoczywa nie tylko w zadawnionych tradycjach uniwersyteckich, bo czyjś kaprys może ufundować uniwersytet społeczeństwu, które do wyższej uczelni nie dorosło: prawo do tego domu spoczywa w tem, że już w XV wieku uniwersytet był żywiołową potrzebą społeczeństwa polskiego, że już w XV wieku na uniwersytecie krakowskim uczył się Kopernik i że tu znalazł profesorów, którzy go skierować umieli na drogę nowożytnych reform astronomicznego myślenia, że wreszcie ci profesorowie nie byli importem intelektualnym, lecz wyrosli z atmosfery krajowej, słowem: że w wieku XV-ym już wiedza i badawczość naukowa była naturalnym pnem, z duchowej gleby narodu wyrosłym.

Polska stała *al pari* z poziomem i potrzebą uniwersytetów już w wieku XV i nigdy, aż po dziś dzień, z tego kursu ducha nie zesza. Nie mieliśmy ani jednego okresu w swem życiu historycznym, kiedyby stan oświaty nie czuł się osieroconym po stracie wyższych uczelni. To, co my, w skrupulatnym krytycyzmie, nazywamy epoką pochylenia się duchowego Polski, wiek XVII naszej historii zapisuje się w dziejach oświaty szeregiem wyższych zakładów naukowych nie tylko w koronie i w stolicy Litwy, w Wilnie, ale i na dalekich kresach. Sztandar wyższej nauki powiewa nad północnym Połockiem, w mroki ówczesne ducha ruskiego, wdzierając się pochodnią zachodnio-europejskiej umysłowości; w tem samym stuleciu, z polskiej inicjatywy oświatowej powstaje na Rusi, w Kijowie, Akademia; ona, jak i tamta, połocka, poprzedza o całe stulecia poczynania rosyjskie naukowe na tych ziemiach. Tak więc w epoce, którą my chcemy uważać za okres niższej umysłowości, nauka polska ma jeszcze tyle prężności, taką zwykłą energię, że czuje się na siłach do podjęcia misji intelektualnych poza etnograficznymi granicami zbiorowiska polskiego.

W wieku XVIII-ym, kiedy już naprawdę pozostaliśmy w tyle za Europą, kiedy *ogół* nie ma już w sobie tego pędu umysłowego, który jest pierwszym warunkiem prawidłowej organizacji oświatowej, honor naszej umysłowości ratują godnie *jednostki*, tacy, jak Stanisław Konarski, tacy, jak członkowie Komisji Edukacyjnej, tacy wreszcie — w politycznym znaczeniu ludzie smutnej pamięci — jak

Stanisław August. To ukochanie ducha, kultura, humanitaryzm, wzięty z rozbudzeń oświatowych wieku XVIII-go, odbija się też i na czynach naszej historii politycznej: Kościuszko. Siła i wiekopomność tej postaci—to nie tylko jego patriotyzm, ale i barwa patriotyzmu; typ cywilizacyjny, ta widoma uprawa etyczno-intelektualna, które przesiąkały indywidualność rewolucjonisty polskiego, które czyniły zeń postać nawskroś uduchowionego strażnika nie tylko politycznych, ale i moralnych dóbr narodu.

A potem, w wieku XIX-ym i aż po dzień dzisiejszy, po Macierz Szkolną i po odezwę Zdzisława ks. Lubomirskiego o powszechnem nauczaniu, ilekroć możemy choć na chwilę wziąć w siebie haust jako tako wolnego powietrza—pierwszą naszą troską jest pokazać, że nie straciliśmy nic z tego pędu cywilizacyjnego, który od Vitellia-Ciołka, od średniowiecza począwszy, był i jest cechą naszej żywotności.

Ta żywotność—to właśnie dom naszej umysłowości, nasze po ojcach wzięte prawo. Bez oszłomienia tedy, jako święcie należną nam rzecz, bierzemy wznowienie języka polskiego na Uniwersytecie warszawskim. Wracamy do domu własnego.

Nie wygląda ten pierwszy rok tak, jak chcielibyśmy może, by wyglądał. Z natury rzeczy, wobec stanu wojennego, nie mogła komisya rządząca powołać takich sił, na jakie nas stać. Musiano się zadowolić pewną improwizacją.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by na wydziale matematyczno-fizycznym zasiadła chluba nauki europejskiej, p. Curie-Skłodowska. Nie mogliśmy mieć tej radości, by najpoczytniejszy pisarz świata, a wychowaniec Szkoły Głównej, Sienkiewicz, choć krótki ogłosił kurs i pokazał, że wielki talent beletrystyczny ma też u nas i wszelkie kwalifikacje do objęcia katedry, że umiałby niezwykle wprost dać ujęcie tego okresu literatury, w który językiem swym i skłonnościami twórczemi sięga: — okresu Kochanowskiego.

Nie mogliśmy z uniwersytetów galicyjskich „wydzierzać” tylko znakomitości, na ile nas stać; nie mogli na swój grunt powrócić ci wszyscy z Królestwa do Galicyi wemigrowani mężowie nauki, którzy porówni z wielkimi indywidualnościami Wielkopolski, jak np. Kazimierz Morawski lub Kasprowicz—tam w Krakowie i we Lwowie szukać musieli pola do rozwoju; zbraknie naszemu Uniwersytetowi niejednego z tych, którzy znani są światu naukowemu tak dobrze w Wiedniu czy w Berlinie, jak w Madrycie, Melbourne, Tokio i Chicago.

Nie zmniejsza ta okoliczność ani na cal chluby, jaka spada na obecny skład profesorów naszego Uniwersytetu. Przedewszystkiem i w tym składzie znajdujemy ludzi, którzy byli dotychczas ozdobą polskiej myśli, a następnie ci nowi, przeważnie młodzi, którym dopiero dane będzie wykazać siły i zdolności, mają zaszczyt zmierzyć swe siły na zamiary, mają szczytne zadanie zastąpić nasze wielkie imiona naukowe; mogą mieć tę jedyną

może w życiu chwilę, kiedy wydobycie z siebie maximum pracy i talentu staje się nie tylko hasłem, ale i najrealniejszą potrzebą.

Cały skład profesorski i całość młodzieży uczącej się przystępują do pracy w momencie wyjątkowo dla siebie szczęśliwym: niema w społeczeństwie człowieka, któryby im obecnie nie słał jak najgorętszych życzeń, owianych otuchą, że już ten pierwszy rok Uniwersytetu stanie się ziarnem dla przyszłych żniw kulturalnych.

Z wami cały naród, panowie!

Uskrzydłona ma być wasza praca. W dniu, kiedy czcigodny rektor otwierał w auli Uniwersytetu rok szkolny 1915/6, kiedy w starym gmachu zabrzmiała na nowo przyrodzona tym murom mowa polska, w dniu tym byliśmy z wami nie tylko my, żywi, tam obecni. Zeszły się tam duchy wszystkich Konarskich, Czackich, Mianowskich, wszystkich uczonych i myślicieli polskich, zeszedł się cały, nigdy od nas nieodbiegły, duch naszej cywilizacji duchowej—i błogosławił. Nie kończył się na nich poczet uczestników. Wśród nas, niewidzialna, ale sercami naszymi przeczuwana, niemal dotykalna stała *Przyszłość*. Wsłuchiwała się w tętno wrzuseń waszych i odgadnąć pragnęła, co od was otrzyma. Nie wątpimy ani na chwilę, że będzie z was dumna. Niech przyszłość polska wami się szczyści—to pragnienie, to braterskie życzenie śle waszej pracy—Polska.

Gdy kreślimy tych zdań kilka o wznowionym Uniwersytecie polskim w Warszawie, niemożliwą rzeczą wydaje nam się pominąć milczeniem dzieje innego uniwersytetu, który w najcięższych chwilach, po zaniknięciu Szkoły Głównej, nie przestawał ani na chwilę, aż do ostatnich dni, aż do dziś — działać. Nie był on instytucją, nie był zorganizowaną uczelnią, a jednak czynił niemal wszystko, co do obowiązków uniwersytetu należało. Tym nieuchwytnym tonem szkoły wyższej była nieustanna praca naukowa i kulturalna setek ludzi, którzy w trudzie, nieraz w niedostatku, z apostołską wytrwałością pracowali nad tem, by społeczeństwo, pozbawione polskiej szkoły naczelnej, nadążało jednak za Europą, by w swoim języku poznawało wiedzę. To uczeni nasi, to godni hołdu nauczyciele szkół średnich, to literaci typu Prusa, to publicyści—ci wszyscy, którzy w druku, w książkach, odczytach, lekcyjach, artykułach, studyach—nie nagrodzeni dostatecznie, zapracowani, męczennicy trudu — nieśli pochodnię płonąca, by ją oddać w ręce przyszłym pokoleniom.

Większość z nich dzisiaj w grobie.

Wasze to święto dzień 15 listopada 1915-go roku, szlachetne, utrudzone duchy! Wasza praca zachowała wydziedziczonej umysłowości nie-skarloną skalę atmosfery uniwersyteckiej w kraju. Przed wami chyła się dziś czoła.

Nestorowi tych bohaterów wiedzy polskiej, czcigodnemu prof. Korzonowi, niech mi wolno będzie tych kilka moich ułomnych słów o uniwersytecie—zadedykować.





Otwarcie Uniwersytetu warszawskiego w wielkiej Auli w dawnym gmachu czcigodnej pamięci Szkoły Głównej, dnia 15-go Listopada 1915 roku.

## JUVAT MEMINISSE...

Zdarzyło się, że w dniu otwarcia uniwersytetu, na podwórku, pomiędzy biblioteką a pawilonem wykładów, gdzie za dawnych czasów miała swoją siedzibę t. zw. *inspekcya*, zgromadziło się nas kilku wychowalców uniwersytetu warszawskiego z przed lat 25, z epoki, kiedy system Hurki i Apuchtina był u szczytu panowania.

Mimowoli zaczęliśmy rozmawiać o przeszłości, a wyraz *pamiętasz?* każdemu z nas cisnął się na usta i wywoływał szereg wspomnień—z jednej strony radosnych, bo byliśmy wówczas młodzi i przesyleni wiarą, że świat naprawdę na „nowe pchnie my tory”—z drugiej przykrych, jak przykrą jest pamięć o doznanych krzywdach.

Śladu już niema z naszych mundurów o niebieskich kołnierzach i złotych guzikach, mundurów wtedy właśnie świeżo wprowadzonych, a w duszach pozostały jednak głębokie brózdki, niczem niezatarte, drgające do dzisiaj świadomością niewoli, której widomym znakiem był ten gmach, pomalowany na brudno-żółty kolor, przypominający zewnętrznym i wewnętrznym swoim wyglądem koszary.

Ten nastrój koszar udzielał się każdemu z chwilą przestąpienia z matrykulą w rękę przez próg budynku, na którego straży czuwali liczni pedele, śledzący bystreimi oczami, czy aby wszystkie guziki są zapięte, czy spodnie są czarne, jak tego wymagała „forma”, czy niema jakich oznak „nieprawomyślności” w garderobie. A jeżeli były, jeżeli zostały dostrzeżone, szła natychmiast denun-

cyacja do inspekcji i student otrzymywał tam odpowiednią notę. Po kilku takich notach następowo wezwano przed oblicze Barsowa, który w asystencji swojego, wiecznie jękającego cię pomocnika, Palcewa, wygłaszał reprimandę („wygówor”) i przypominał o złożonych na jego ręce „ślubach akademickich”.

„Śluby” te były czemś wyjątkowem w swoim rodzaju, czego żaden uniwersytet na świecie nie znał, czego nawet w uniwersytetach rosyjskich nie było nigdy w tej postaci. Polegały one na podpisaniu przez każdego nowo wstępującego ucznia drukowanej kartki papieru, wyszczególniającej obowiązki studenta. Obok przepisów, dotyczących garderoby, posłuszeństwa władzy i t. d., był tam znamieny ustęp: uroczyste wyrzeczenie się należenia do jakichkolwiek stowarzyszeń, związków, korporacji, spisków czy to w obrębie uniwersytetu, czy poza jego murami.

Wszyscy podpisaliśmy to pod przymusem, jako *sub jugum missi*, nie czytając nawet dokładnie cyrografu, wystawianego przez nas samych, a zadającego kłam nie tylko wewnętrznym naszym uczuciom, ale i istotnemu stanowi rzeczy, wtedy bowiem właśnie uniwersytet warszawski roił się od kótek konspiracyjnych, będących konieczną reakcją przeciw uciskowi i deprawacji, szerzonej przez rząd *ex cathedra*, przez usta takich profesorów, jak Simonenko (statystyka) Block (prawo państwowe), Filewicz (historia Rosyi), Kułakowski (język rosyjski) i inni.

Na okres ten przypadł w uniwersytecie szereg zaburzeń, więc przedewszystkiem zatarg na I-ym kursie medycyny z profesorem fizyki, Ziłowem,

przerwanie egzaminu i dobrowolne pozostanie całego kursu na rok drugi, co było biernym protestem przeciw osobie profesora i jego postępowaniu; następnie słynne zajście z rektorem Szełkiewem z powodu żądania przez ogół młodzieży wydalenia z uniwersytetu studenta Silbersteina. Zajście to, znane w historii uniwersytetu pod mianem „Silbersteiniady”, uwieńczone zostało spoliczkowaniem rektora, którego następstwem było surowe śledztwo dyscyplinarne.

Pozatem żandarmerya specjalnie czuwała nad uniwersytetem i wystarczyło nosić na sobie mundur, aby być uznanym za „przestępcę państwowego”. Był to okres t. zw. żartobliwie „odbywania powinności więziennej” przez młodzież, która przepelniała wówczas cytadelę. Aresztowano często bez żadnych zgoda podstaw, na chybił trafiał. Aresztowania te odbywały się zazwyczaj przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Poprzedzały je rewizje, żadnego nie dające plonu, bo praktyka nauczyła nas zawczasu „dezynfekować” mieszkania, starannie usuwając z nich wszelkie ślady konspiracji. Pomimo to były przypadki, że aresztowani bez żadnych poszlak i bez żadnych dowodów winy siedzieli w więzieniu po kilka a nawet po kilkanaście miesięcy, aby potem, w dniu odzyskania wolności, usłyszeć od rotmistrza Szlikiewicza, że „właściwie byli aresztowani tylko w charakterze świadków”. Niejeden z takich „świadków” zwichnął sobie przez to życie, bo władze uniwersyteckie odmawiały mu już przyjęcia z powrotem.

Niezależnie od aresztów sporadycznych spadły na uniwersytet dwie katastrofy zbiorowe. Jedna





Rector magnificus Wszechnicy warszawskiej, Dr. med. Józef Brudziński, w otoczeniu pierwszych studentek i studentów.

o rozmiarach mniejszych—to aresztowanie kilkudziesięciu studentów za udział w manifestacji majowej w r. 1891, w setną rocznicę konstytucji 3 maja, druga—znacznie większa—tę trzymiesięczne więzienie i deportacje dwustu kilkudziesięciu studentów za demonstrację uliczną ku czci Kilińskiego w dn. 17 kwietnia 1894 roku, w setną rocznicę insurekcji. Uniwersytet warszawski stracił wówczas swój najprzedniejszy kwiat, który bez sądu, z wyroku administracyjnego, wydanego po wspólnym porozumieniu się przez ministrów sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i wojny, rozproszony został po całym Wschodzie, aż po i za Ural.

Takie były „nasze” czasy uniwersyteckie.

—*Juvat meminisse praeteritorum malorum*—szepnął jeden z nas. Oto jedyny odpowiedni napis, jaki ku nauce dalszych pokoleń powinien być umieszczony na tym gmachu, do którego murów przywarło tyle krzywd, wyrządzonych narodowi i społeczeństwu przez kilkudziesięcioletni okres istnienia uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie, tego uniwersytetu seminarzystów, popowiczków i stypendystów rządowych, tresowanych tutaj na przyszłych nauczycieli szkolnych, prokuratorów, sędziów i urzędników administracyjnych w kraju, wydanym na ich łup, w imię „wyższych” interesów państwa, niepewnego swoich kresów, a ślepego na to, iż przychylność tych kresów inaczej się zdobywa.

Obok nas przeszła grupa młodzieży, śpieszącej do auli na uroczystość otwarcia uniwersytetu polskiego...

Spojrzelśmy na nich i spojrzeliśmy po sobie. Nasze głowy już szron siwizny przyprószył, ich jasne, wesole twarze śmiały się młodością i tchnęły wiarą w życie.

*Quod felix, faustum fortunatumque sili*  
Przez jakże inne wrota wchodzić oni do szkoły, która może będzie dla nich naprawdę ową „Alma mater”, wspominaną do końca życia z uczuciem przywiązania synowskiego, z rozrzewnieniem i wdzięcznością.

My takich wspomnień nie mamy, ale dlatego właśnie, że ich nie mamy, że młodość nasza została tak brutalnie odarta ze wszelkiego li-

ścia wiosennego, że ją zmuszono do unikania słońca i prawdy, do wstępowania naprzód w mrok konspiracji, a potem w mrok więzień, gdzie na barłogu słomy śniliśmy swój sen „dwudziestu lat”—dlatego właśnie życzymy gorąco naszym zstępnym szczęśliwego roku akademickiego, który rozpoczyna się w tych wyjątkowych warunkach, w tym wyjątkowym uniwersytecie, który dźwiga się na gruzach zrujnowanego przez wojnę życia polskiego, jako zapowiedź lepszego jutra, jak zwiastun odrodzenia i pokojowej pracy na rzecz kultury i cywilizacji polskiej i ogólnoludzkiej.

Młodzi przeszli obok nas obojętnie. Nie dostrzegli może nawet naszej obecności. Nie domyślili się, że ręce nasze rwały się do uścisku, że my, starzy uczniowie tego uniwersytetu, którzy na tym podwórku nie odnaleźli żadnych innych wspomnień ponad bunt swoich młodych dusz, mamy im do powiedzenia na drogę życia ważne słowa: „bądźcie szczęśliwsi!”

O, tak! bądźcie szczęśliwsi, inni, weselsi, promienniejsi, nie kryjący przed nikim swojej prawdy wewnętrznej, poszukujący jej razem z waszymi profesorami, którzy będą dla was, jak starsi przyjaciele i przewodnicy. Z całym szacunkiem i z całą ufnością zbliżajcie się do nich, aby nie zaznać nigdy tej goryczy, jaka była naszym udziałem.

„Nasi” profesorowie byli naszymi wrogami. Patrzyli na nas, jak na nieprzyjaciół, osnuwali nas siecią kłamstw i podstępów i zmuszali do używania tej samej broni. Nasi profesorowie nie byli kapłanami nauki. Służyli polityce, która powinna zawsze stać jak najdalej od ognisk wiedzy. Żaden z nich nie pił sam i nie podawał nam czystej wody, czerpanej poświęconą ręką z kryształowej cysterny myśli. Kazano im tę myśl zatrąwać, więc ją zatrąwali, nieraz może wbrew własnemu sumieniu. Nie zachowaliśmy o nich dobrego wspomnienia. A jeżeli w pamięci naszej zarysowuje się z tych czasów jedna i druga postać szlachetna, to jest nią tragiczna postać profesora-polaka, którego reforma zaskoczyła na katedrze i który przez resztę życia walczyć musiał ze swo-

jem sumieniem polskim i ludzkim w imię tego, aby wytrwać na stanowisku, bo opuszczoną przez niego placówkę zająłby obcy profesor-urzędnik.

Nie rozumieliśmy może wówczas dobrze ani tych ludzi, ani wewnętrznej ich rozterki, ani poczucia obywatelskiego, które kazało im trwać i wytrwać. Dzisiaj jednak, po latach, pochylają się nasze czoła przed nimi, przed pamięcią Budzińskich, Okolskich, Brodowskich, Kosińskich, Struve'ych.

Niewielu z pośród nich doczekało dnia dzisiejszego, dnia zmiany. Los pomyślny chciał jednak, aby trójca dawnych profesorów Szkoły Głównej: Ignacy Baranowski, Wł. Holewiński, i W. Miklaszewski byli świadkami wskrzeszenia uniwersytetu polskiego w Warszawie.

Oto siwa głowa prof. Miklaszewskiego przesuwana się przez podwórzec. Zdejmujemy przed nim kapelusze, jak dawniej przed 25-ciu laty zdejmowaliśmy czapki studenckie.

Stary profesor mijają starych uczniów swoich. Stąpa rzeźko. Bodaj że nic się nie zmieniło. Nie znać na jego twarzy postępu lat. Z uśmiechem zdejmując swój dawny fasonu cylinder, z uśmiechem i rozradowaniem oddaje nam ukłon.

A może to tylko chwila dzisiejsza, chwila naprawdę w dziejach tych murów historyczna, odmłodziła sędziwego męża, blasku dodała jego oczom, sprawności jego szybkim krokom?

Profesor znika w przedsionku. Zostajemy na podwórku sami. Chwila zadumy. Jedno spojrzenie ku głównej fasadzie pałacu Kazimierowskiego. Jeden moment niezapomnianej wizji: Szkoła rycerska, Kościuszko, Niemcewicz; później uniwersytet Królewski, Brodziński, ks. Szweykowski, Leleweł, akademicy; później Szkoła Główna, rektor Mianowski, świetna plejada profesorów i uczniów, którzy przez lat 50 na barkach swoich dźwigali odpowiedzialność za istnienie nauki polskiej, później my „urodzeni w niewoli, okuci w powiciu”, prześladowani i pełni buntu wśród szarej, przygnębiającej atmosfery życia polskiego, a teraz—*jutro narodu*, stawiające pierwsze swoje kroki na nowej drodze, ku słońcu...

*Deus mirabilis, fortuna variabilis!* z. D.



## W ROCZNICĘ ŚMIERCI STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO.

□□

Dnia 29-go listopada upływają trzy lata od śmierci ś. p. Stanisława Krzezińskiego. Gorące serce, któremu kochał kraj swój i przez pół wieku służył mu myślą, radą i czynem, sprawiło, że społeczeństwo oddało hołd jego pamięci wyrazami żalu i serdecznymi wspomnieniami po śmierci.

W pierwszą rocznicę odbyło się na Powązkach poświęcenie nagrobka, na którym położono skromny napis, układu prof. Maryana Dubieckiego autora „Traugutta”:

Ś. † P.

STANISŁAW KRZEMIŃSKI,

literat,

przyjaciół młodzieży,

ur. 16/XII 1839, † 29/XI 1912.

Myślą, radą, piórem przez pół wieku służył  
Ojczyźnie.

„Jeden z ostatnich, a może ostatni  
Z tych, co widzieli, marzyli i chcieli —  
Może ostatni z tych niezłomnych w bieli”.

El.

Na czarnej granitowej tablicy umieszczony też jest brązowy odlew płaskorzeźby Makowskiego, przedstawiający ś. p. Stanisława Krzezińskiego.

Zacytowany wiersz na nagrobku jest wyjątkiem z wiersza K. Laskowskiego, złożonego w hołdzie jubileuszowym dnia 25-go listopada roku 1909-go. Przytaczamy wiersz ten w całości:

Gdybym miał dłużej i chciał Tve oblicze  
Wykuć—to w białym kowalbym marmurze!  
Naokół polskie rozmieściłbym znicze  
I polskie niebo za chmurami, w górze,  
A Ciebie w środku: duszę, postać całą,  
Jak marmur twardą i jak marmur białą!

A potem ryłbym na tym postumencie:  
Dni nasze, doby, miesiące i lata,  
Święta uniesień, żałoby po święcie,  
Lecz tak, by białą pozostała szata,  
Nieskazitelna, by rycerska zbroja,  
I taka czysta, jako dusza Twoja!

Jeszczebym wpisał ku wieczystej chwale  
W pamięć pokoleń jaki odzew bratni—  
I prosty napis wykuć w białej skale:  
„Jeden z ostatnich, a może ostatni  
„Z tych, co widzieli, marzyli i chcieli—  
„Może ostatni z tych niezłomnych... w bieli”.

El.

Wiersz ten wywołał wierszowaną odpowiedź ś. p. Stanisława Krzezińskiego, którą w szufladzie, w papierach po zmarłym znaleźliśmy. Koperka z wierszem nosiła napis: „i jeszcze jeden... grzech, już ostatni”.

W młodości swojej i później ś. p. Krzeziński nieraz w formę poetycką ujmował myśli i uczucia swoje. Mało co z tego za życia drukowane było. Zbiór tych wierszy wypełnia gruby zeszyt. Myśli te znalazły duchy pokrewne, jak Asnyk, któremu dedykował 12 sonetów d. 2-go sierpnia 1888-go (na imieniny), a w roku 1896 przesłał mu wiersze swe z maja 1863 r. Ostatnim wierszem, jaki skreślił ś. p. Stanisław Krzeziński, jest odpowiedź na wiersz El-a, posłana mu dnia 26-go listopada r. 1909 z napisem *Tibi soli*, aby drukowaną nie była.

Tę pieczęć skromności możemy teraz zdjąć. Jest to utwór 70-letniego

starca, skreślony jeszcze pewną ręką a gorącym i miłością kraju palającym sercem.

### W ODPOWIEDZI NA WIERSZ EL—A.

Słowa Tve krzepią, słowa Tve grzeją,  
Snują mi wiary złocistą nić,  
Bym w wieczność odszedł z żywych nadzieją,  
Że naród żyje i będzie żyć.

Będzie, gdy polskie serca Ojczyznę  
Miłować będą, jak matkę swą,  
I nie przestaną w łany Jej żyźne  
Rzucać ziarn jutra—znojem i krwią.

Ale nie dla mnie są kształty myśli,  
Które w kryształach słów Twoich lśnią...  
Gdy spojrzę w przeszłość, wzrok mi mój kreśli  
Nie mają zasługę, lecz dobroć Twą.

Och, nie z marmuru ja byłem cały,  
Co się pod ciosem twardością skrzy;  
Człowiekiem byłem z gliny, nie z skały,  
Na drogach moich błędy i mgły.

I nieraz dusza ślub z ideałem  
Rwała i pełza wśród ziemskich błot;  
I nieraz dni swe ja przeklinałem,  
Gdym w życiu tracił prawy swój lot.

Tyś sam nie wiedział, że Twoje słowo  
Nie tam poleciał, gdzie cmentarz sił,  
I nie przeczułeś, że milionową  
Potęgę uczysz, nie drobny pył.

Przez byt mój serce Twoje sięgnęło  
W urocze kraje przeszłości mar,  
Gdzie powstawało tężowe dzieło  
Dusz, które palił niebieski żar.

I jam z innymi leciał w powiewie  
Wielkiego wichru, co duchy rwał,  
I jam rozpałał jutra zarzewie  
I mnie ogarniał aniołów szal.

I we mnie drgnęła też nieśmiertelność,  
I ja, nie pomnąc Ojcom ich win,  
W synach wskrześć chciałem tych ojców dzielność,  
Gdy po łzach pieśni podniósł się czyn.

To prawda, to się wplotło w me życie,  
I tego żaden nie wydrze wróg—  
I Wy dziś nie mnie, nie wiek mój czcicie,  
Lecz symbol krwawych a świętych dróg;

Wy czcicie przeszłość u mego łona...  
Ja z Was wyczuwam rytm Waszych serc,  
Z którego wyjdzie już niewzruszona  
Miłość Ojczyzny—ta twierdza twierdź.

Stanisław Krzeziński.



Stanisław Krzeziński i Jan Kanty Janowski.

Grono ludzi zbliżonych do ś. p. Stanisława Krzezińskiego nosi się z myślą wydania jego życiorysu i bibliografii prac, zebrania złotych myśli z pism i listów nieboszczyka. Duszą tego projektu jest p. Stanisław Michalski, twórca „Pamiętnika dla Samouków”, człowiek, który duchowo najgłębiej wczuł się w ideały ś. p. Stanisława Krzezińskiego. Byłby to prawdziwy pomnik pamięci, wystawiony wielkiemu obywatelowi serca i myśli przez przyjaciół—pamiętka przyszłości.

Dajemy dzisiaj podobiznę ś. p. Stanisława Krzezińskiego i Jana Kantego Janowskiego, robioną we Lwowie 1911 r. Przed wyjazdem pisał do mnie do Krakowa z Warszawy pod datą 1 czerwca r. 1911: „w Krakowie będę 4 dni i jadę do Lwowa, gdzie mnie czeka najdzielniejszy człowiek z centralnych... Józef Kajetan Janowski, ode mnie o 5 lat starszy, czeka i biblioteka jedna i druga i ludzie koło bibuły chodzący. Mam zamiar w stolicy Galilei zabawić dni 5, na krótko zajrzeć z powrotem do Krakowa, pomknąć do Suchej, a potem d. 20 b. m. puścić się do Paryża. Widzisz, stary zwaryował, chce zwiedzić miejsca, gdzie mu upływała młodość. Będzie i w Heidelbergu, gdzie za rok mógłby obchodzić półwiekowy jubileusz swego studentwa”...

Pisane z temperamentem, właściwym ś. p. Stanisławowi Krzezińskiemu. Wszędzie był, tylko dłużej, niż zamierzał, z wyjątkiem Heidelberga, bo go uprzedzono, że młoby wynieść przykre wrażenia, ponieważ na katedrach znajdują się ludzie, którzy, lubo zajmują się czystą wiedzą, ale uprawiają też politykę wrogą względem Słowian a zwłaszcza Polaków.

Możemy się spodziewać, że jeszcze długo odzywać się będą jakby z poza grobu myśli ś. p. Stanisława Krzezińskiego, bo oto w papierach znalezione zostało pokwitowanie kustosa Muzeum Mickiewiczowskiego w Paryżu (z d. 14/VI r. 1912), p. Władysława Mickiewicza, że St. Krzeziński złożył w Bibliotece Polskiej odpisy listów, pisanych w latach 1909, 1910 i 1911, z zastrzeżeniem, aby nie były otwarte przed upływem lat dwu od śmierci ofiarodawcy. Obok pokwitowania znajduje się list p. Wład. Mickiewicza, w którym między innymi pisze: „Załączam poświadczenie odebrania drugiego depozytu; pierwszy depozyt niemniej bezpieczny, chociaż rewers dał tylko bibliotekarz. Notatka, dołączona przeze mnie do depozytu, wymienienia, w jakich warunkach uskutecznił został i obowiązuje tak mnie jak następców moich na stanowisku dyrektora Biblioteki Polskiej”.

Co jest w tych depozytach, wnioskować możemy z notatek zmarłego o wysłanej przez siebie korespondencji. Dnia 17 lutego r. 1912 pisał do

p. Wład. Mickiewicza: „listy Asnyka dla Biblioteki Polskiej w Paryżu. Listy moje na własność Biblioteki”, a d. 27 lutego do tegoż: „listy Asnyka przeznaczam dla prof. Chrzanowskiego we 2 lata po mojej śmierci<sup>1)</sup>. Listy moje do Asnyka niech on sam oceni czy warte przechowania; jeżeli tak, to niech je dołączy do asnykowskich, jako dodatek”... O tych listach jest notatka w korespondencji, przesłanej p. St. Libickiemu d. 16 lutego 1912 r.: „listy moje do Asnyka dla Biblioteki Polskiej w Paryżu (24 listy i urywki)”. Co mieści w sobie drugi depozyt, wnioskować możemy z listu ś. p. Stanisława Krzezińskiego do Wład. Mickiewicza, pisanego 24/V 1912 r.: „Odesłane dziś dla Biblioteki Polskiej odpisy listów moich do Janowskiego z lat 1909—11 o udziale moim w działaniach r. 1863”.

DR. MIECZYSLAW OFFMAŃSKI.

<sup>1)</sup> Zapewne do opracowania i wydania (M. O.).





Edward Abramowski—psychologia.



Samuel Dickstein—matematyka wyższa.



Marcei Handelsman—historia nowożytna.



Eugeniusz Jarra—encyklopedia prawa.



Józef Kallenbach—literatura polska.



Witold Kamieniecki—historia nowożyt. Polski.



Kazimierz Karwowski—język francuski.



Kazimierz Konarski—historia średniowieczna.



Edward Loth—anatomia.



Dr. Jan Łukasiewicz—logika.



Jan Sosnowski—zoologia.



Stanisław Szober—wstęp do językoznawstwa.

### ZAMACH NA „ISTINNO-RUSKĄ” GALICYĘ W ROKU 1866.

Dzienniki wiedeńskie stwierdzały jednomyślnie, że nigdy nie pisano tyle o jakimkolwiek wypadku w polityce wewnętrznej austriackiej, co o nominacji Gołuchowskiego. Z prasą rosyjską polemizowały: *Patrie*, *Monde*, *Opinion nationale*, *Siècle*, *Union*, *Journal des Débats*, *M. Advertiser* i t. d. Korespondent paryski *Warszawsko Dniennika* stwierdzał, iż pisma kleryczne, dotychczas przychylnie Rosyi, odwróciły się od niej; artykuły ich to „chór przekleństw dla poniżenia Rosyi i zdeptania prawosławia”. *La Patrie* przekonała się z głosów rosyjskich, że Austria stanowi przednią straż Europy przed Rosją. *Opinion nationale* twierdziła, że Rosja ogłasza panslawizm już nietylko przeciw Turcyi, ale i Austrii, — „niech więc Europa radzi”. *Monde* zbijał wszelkie „urojone” pretensje do Rusinów, wykazywał ich odrębność, pochwalał Austrię za jej sympatyje dla Polaków; wiedeński jego korespondent nominację Gołuchowskiego na-

zywał rękawicą, rzuconą Rosyi przez Austrię, i zapowiadał, że Polska powstanie z grobu. *Journal des Débats* widział w Gołuchowskim męża, który przywróci dawną unię między Polakami i Rusinami. *Advertiser* wyjaśniał odrębność Rusinów i radził Austrii oprzeć się intrygom rosyjskim. Cała prawie prasa wiedeńska (z wyjątkiem *N. Fr. Pressy*) ostro, a nawet bardzo ostro i to niejednokrotnie odpowiadała pismom rosyjskim, oburzając się, że „uważają one Austrię za wasala”. *Wanderer* „gniew Rosyi” uważał za „przestrożę”, lecz zapewniał, że Austria nie ma się czego wogóle lękać Rosyi, a już co najmniej w sprawie polskiej—gdyż, jeżeliby ją podniosła, to „miałaby niezawodnie całą Europę za sobą”. Również silne były odpowiedzi starej *Pressy i Debatty*. Ostrzegały one, aby rząd austriacki miał się na baczności przed zamiarami Rosyi—*Presse* nawet oświadczyła, że to mieszanie się w wewnętrzne stosunki obcych państw dowodzi potrzeby restauracji Polski, „aby raz usunąć tę kość niezgody”. Mówiąc o „zachciankach” wszelkiego rodzaju, przypomniano, że Bismarck w rozmowie z Berendtem w Gdańsku mówił „o pociągnięciu Prus po Warszawę”, że cho-

dziły wieści o przymierzu Prus z Rosją, które pierwszym miało dać Polskę po Wisłę, a drugiej Galicyę. O tem, że prasa polska, tak galicyjska jak poznańska, polemizowała z pismami rosyjskimi, nie potrzeba nawet wspominać.

Tymczasem Gołuchowski zachowywał się z całą bezstronnością wobec Rusinów. Już kiedy go witano na dworcu kolejowym, zwrócił się do arcybiskupa Litwinowicza ze słowy: „Przedewszystkiem upraszam ekscelencję o błogosławieństwo. Gorącym mojem pragnieniem, abyśmy żyli w zgodzie i wspólnie nad dobrem kraju pracowali”, — poczem wsiadł z Litwinowiczem do powozu, a muzyce, grającej pieśni polskie w pochodzie, kazał wykonać kołomyjkę. Na audyencyach, udzielanych Rusinom, zapewniał ich, że będzie przestrzegał równouprawnienia narodowości i praw, służących językowi ruskiemu. Kiedy posłowie ruscy przy rozpoczęciu sejmku zjawili się u niego w deputacyi, przemawiał do nich po rusku i oświadczył, że jest niemniej „rewnym” Rusinem, jak szczerym Mazurem, i dodał: „tylko nieprzyjaciele Rusinów głoszą, że jestem ich wrogiem”. Kiedy Piątkowski, dyrektor gimnazjum ruskiego, zapytany przez



## PROFESOROWIE UNIWERSYTETU I POLITECHNIKI W WARSZAWIE.



Ludwik Szperl—chemia.



Zygmunt Woycicki ze Lwowa—botanika



Ziemowit Arłiewicz—geometria analityczna.



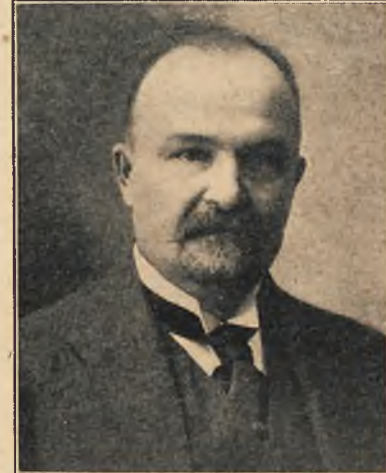
Czesław Domaniewski—budownictwo.



Józef Holewiński—wytrzymałość materiałów.



Jan Krassowski—matematyka.



Henryk Korwin-Krukowski—technologia metali.



Julian Rudnicki—geometria analityczna.



Kazimierz Skórewicz—historia archiit. w Polsce.



Rudolf Świerczyński—projektowanie pierwsze.



Tadeusz Tołwiński—projektowanie drugie.



Stefan Zientarski—technologia mechaniczna.

niego o stan tego zakładu, zauważył, iż rozwojowi jego przeszkadzają wykłady w języku ruskim, Gołuchowski udzielił mu „nauki” w słowach: „Każdy język równie dobry i nie może przeszkadzać postępowi w naukach—nie wierzę, aby szkodził wykład w języku ojczystym”... Widzimy więc, że zachowanie się jego było taktowne, programowe. Chciał łączyć, godzić, nie dzielić i rozdrażniać.

Przez poparcie szczerych Rusinów i opiekę nad językiem ruskim Gołuchowski pragnął tępić i rzeczywiście tępił panrosyjskie dążności świętojurców. I temu człowiekowi ucisk Rusinów zarzucały pisma rosyjskie, nie uznające ani Rusinów, ani ich „narzecza”.

Kampania przeciw Gołuchowskiemu, powtarzamy, trwała całe trzy miesiące. Streściliśmy dotychczas tylko jej pierwszą połowę, o drugiej wspomnim pokrótce. *Inwalid* wciąż polemizował i wytaczał nowe działa. *Warszawskij Dniownik*, wyczerpawszy swe argumenty przeciw Gołuchowskiemu, rozpisywał się o nieudolności samorządu galicyjskiego, który ogranicza prawa Żydów (za ograniczenie to uważał wybór tylko 15 Żydów do rady m. lwowskiej). *Dziennikowi Warszawskiemu* bra-

kowało już leż nad uciskiem Rusinów, rzucał się nieustannie w obronie ich rosyjskości na *Gazetę lwowską*, a łatwo pojąć jak się oburzył, kiedy Gołuchowski w rozmowie z burmistrzem samborskim „miał przypisywać pewne symptoma w ruszczyźnie galicyjskiej—brzęczącej inspiracji zagranicznej” (nożyce się odezwały!) *Correspondance russe* ostrzegala, że „koncesje dla Polaków znajdują Rosyę i Prusy gotowemi do współdziałania”. *Kölnische Zeitung* zapewniała, że Beust (mianowany ministrem spraw zagranicznych 30 października) poświęci Gołuchowskiego Rosy, co z tryumfem powtórzyły pisma rosyjskie. Mówiono, że ambasador rosyjski w Wiedniu, Stackelberg, czynił rządowi austriackiemu przedstawienie. *Nord. allg. Zeitung* 20 listopada pomieściła aż dwa artykuły, dowodzące, że stanowisko Gołuchowskiego jest szkodliwe dla Austrii. Przemówił wreszcie *Journal de St. Petersbourg*, najurzędowszy organ rosyjski. Otrzymał wówczas dymisyę Kaufman, generał-gubernator wileński, następca i kontynuator Murawiewa, a opinia łączyła tę dymisyę z nominacją Gołuchowskiego. Więc też *Journ. de St. Petersbourg* uprzedzał „mylne tłumaczenie, mo-

gące znaleźć podsyćcenie w podnieceniach prasy zagranicznej a nawet w pewnych czynach spełnionych w bliskości Królestwa Polskiego”. Tak dyplomatycznie wyrażono swe niezadowolenie. *Journal* zapewniał, że Rosya nie myśli o żadnej zmianie systemu na Litwie i w Królestwie. Z drugiej strony najurzędowszy organ austriacki, *Wiener Abendpost*, zaprzeczał 23 listopada, aby Rosya czyniła w Wiedniu jakiegokolwiek przedstawienia. Cóż dziwnego, że, wobec takiego zainteresowania całej Europy, pobyt Gołuchowskiego w Wiedniu w połowie listopada stał się najważniejszym faktem chwili, że cały Wiedeń miał na niego oczy zwrócone. *Augsburger Zeitung* zapowiadała na wiosnę powstanie, opisywała „wzburzenie” Galicyi, w Krakowie widziała „siedlisko nowego ruchu”. Prawie do końca grudnia oblatywały całą prasę z „najlepszych źródeł” wiadomości, że Rosya wzmacnia swe siły w Królestwie, a Austriya na gwałt wysłała wojska do Galicyi i Siedmiogrodu. Opinia wciąż nie wierzyła uspokajającym artykułom urzędowej prasy.

Niedarmo *Wiener Zeitung* zaprzeczała gromadzeniu wojsk w Galicyi i zapewniała o przyja-



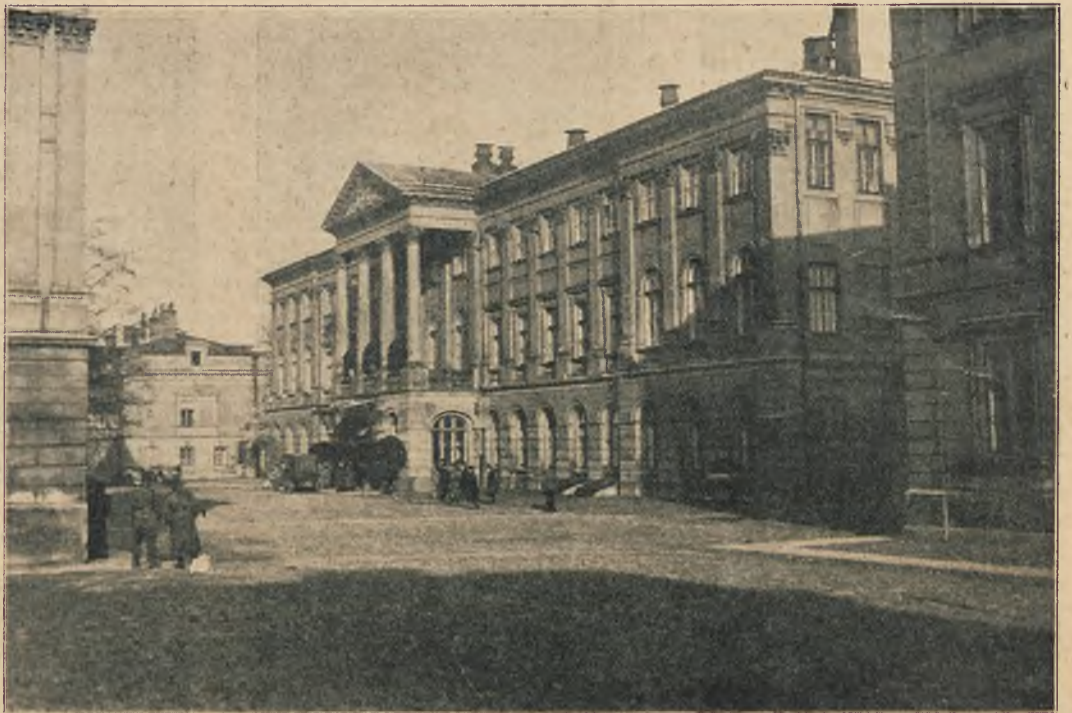
znych stosunkach między Wiedniem a Petersburgiem. „Chybiło to zapewnienie celu”, pisał *Dziennik Warszawski*, a tak jemu jak i innym organom rosyjskim przybyły nowe argumenty z powodu dyskusji adresowej w sejmie lwowskim. Zwracały one zwłaszcza uwagę na przemówienie posła Rodakowskiego, na jego „niesłychane wycieczki przeciw rządowi rosyjskiemu”; przytaczały jego wyrażenie o „dzikiej sile uosobionej przez Moskwę”, oraz ustęp karzący austriackich mężów stanu, że nie pojmowali posłannictwa Austrii w r. 1854 i 1863. W połowie grudnia rozpuszczono pogłoskę o ustąpieniu Gołuchowskiego. Pisano, że zmuszono go podać się do dymisji dla utrzymania dobrych stosunków z Rosją, to znowu, że sam ustępuje, widząc, że mu się nie udało misja pogodzenia Rusinów z Polakami. Nie ulega wątpliwości, że szły z Petersburga w tym kierunku „przedstawienia”. Oczywiście, że po wyjaśnieniach urzędowych musiała ucichnąć burza. Jeżeli jednek pogodzone się z nominacją Gołuchowskiego, to jeszcze nie znaczy, że pogodzone się z nim samym. Powodów ku temu brak nie było. Oto zaraz np. na N. Rok sypnęły się na Galicyę orderzy, a otrzymali je nawet tacy, co „bandy r. 1863 do Królestwa wyprawiali”. Rzecz prosta, że Gołuchowski, jako namiestnik, przedstawiał listę kandydatów do odznaczeń. Jakże więc było organom rosyjskim nie oburzać się i nie ubolewać, że w takie ręce dostał się zarząd Galicyi...

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

### UŚCISK DŁONI.

Profesor Kałużyński, kuzyn Kałużyńskich, u których bardzo często bywam, jest znakomitym uczonym. Skąd się taki w tej rodzinie znalazł, tego nie wiem, ale dość, że jest. I podobno w świecie naukowym cieszy się wielkim uznaniem. Przez kilka lat był docentem jakiegoś zagranicznego uniwersytetu, potem wrócił do kraju, dostał skromną posadkę w prywatnym banku i pracował dalej dla nauki w sposób, który na całym świecie uchodziłby za fanatyczne poświęcenie, a u nas był sobie zupełnie naturalną rzeczą. Z moimi Kałużyńskimi nie utrzymywał stosunków i oni nie szczycili się nim co prawda. Pani Kałużyńska utrzymywała nawet, że od tej zbytniej uczoności przewróciło mu się w głowie, a pan Kałużyński, gdy była mowa o kuzynie, machał tylko ręką: „Z takimi zdolnościami biedę klepać”. W tem streszczał się jego pogląd na przeznaczenie zdolności.

Dopiero w ostatnich czasach, gdy zaczęto mówić o otwarciu uniwersytetu i politechniki, coraz częściej w rozmowach u Kałużyńskich zaczynał wypływać „profesor-kuzyn”. Kilka razy bywałem zapraszany na herbaty, na których miała być ta chluba rodziny. Niestety, zawsze profesorowi coś wypadło: to nagły atak migreny („Kto tyle myśli”—usprawiedliwiła go pani Kałużyńska), to jakieś posiedzenie naukowe—dość, że nie mogłem go zobaczyć. Oczywiście na kogo innego dawnoby się Kałużyńscy obrazili, ale autorytet przyszłego profesora uniwersytetu był tak wielki, że znosili cierpliwie te oznaki lekceważenia, nie żałując wydatków na suche ciastka. To, o czem mówiono, stało się wreszcie faktem: uniwersytet



GMACH UNIwersYTETU, DAWNY PAŁAC KAZIMIEROWSKI.

i politechnikę otwarto i kuzyn Kałużyński profesorem nie został. □□

W domu u Kałużyńskich była z tego powodu chwila przykrego rozczarowania. Pan Kałużyński znów machnął ręką.

— Z takimi zdolnościami nie umieć sobie głupiej katedry wydreptać...—Sądziłem, że okres adoracji kuzyna jest już bezpowrotnie skończony i że przestanie się o nim mówić. Stało się inaczej. Od tego czasu właśnie kuzyn-profesor zaczął już nie tylko bywać, ale wprost przesiadywać całymi dniami. Pod wpływem rozgoryczenia ociekły się w nim instynkty rodzinne. Dzięki temu mogłem go wreszcie poznać. I dziś jestem świadkiem głębokiej tragedii tego człowieka.

Proszę tylko nie zaliczać profesora Kałużyńskiego do tych malkontentów, którzy nadzieje swoje otrzymaniu katedry uniwersyteckiej w Warszawie opierali na kwalifikacjach własnej, wygórowanej ambicji. Jest pewna gromadka takich ludzi i ci pocieszają się dziś... insynuacjami. Profesor Kałużyński na to jest za przywoity i za uczciwy. I do objęcia katedry prawo posiada. Jego zasługi naukowe są rzeczywiste i poważne. Oczywiście powtarzam tu sąd cudzy, gdyż samemu brakuje mi kompetencji potrzebnej do wyrokowania o tych rzeczach, ale taka jest ogólna opinia w świecie naukowym. Jeżeli dziś katedry nie otrzymał, no to dlatego, że jest katedr mało, że nie wszyscy, zasługujący na ten zaszczyt, od razu mogą być powołani i t. d. Próbowałem raz wyłożyć wszystkie te racje profesorowi Kałużyńskiemu, ale uśmiechnął się tylko gorzko.

— Na przyszły rok napewno profesor otrzyma katedrę.

— Nie, panie.

— Dlaczego?

— Bo choćby mi ofiarowali, to nie przyjmę—odparł z głębokim smutkiem w głosie.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego? Bo u nas pracować nie war-

to. Przekonałem się, że ten kraj nie ma absolutnie żadnej przyszłości przed sobą.

Pan Kałużyński — „mój” pan Kałużyński, który był świadkiem tej rozmowy, zwrócił się do mnie z tryumfującym uśmiechem:

— A widzi pan. Na czyjem stańło? Ja zawsze mówiłem, że u nas pracować nie warto.

„Zasady” mojego pana Kałużyńskiego znałem dobrze i dawno, więc jego pesymizm mnie nie zdziwił, ale profesor Kałużyński był człowiekiem uczciwym i prostym, nie miał w sobie kabotyńskiej tendencji do podszywania małych uczuć pod wielkie hasła. I jego melancholia była szczerą. Najzupełniej szczerą. On wierzył, że ponieważ jego pominięto, więc kraj nie mógł się już niczego po przyszłości spodziewać. I bolał nie nad sobą oczywiście, tylko nad krajem.

Pani Kałużyńska, która rzadko się do rozmów naszych wtrącała, tym razem dorzuciła swoje zdanie:

— Ja nie znałam jeszcze kuzyna, a zawsze powtarzałam, że u nas dla nikogo pracować nie warto.

I nagle, wyprostowawszy się majestatycznym ruchem, wyciągnęła do niego rękę. W oczach profesora zamigotało coś, jakby wzruszenie. Długo i mocno uściśnięła kuzynkę za rękę.

I powiem, że ta scena była naprawdę wzruszająca. Są uczucia, które trudno nawet wypowiedzieć słowami, robi się czasem tak, jakby dwie dusze otwarły się na sekundę i padł od jednej do drugiej promień światła. I tak było w tym momencie. Mogło się zdawać przez lata całe, że między tym uczonym, zasłużonym, kulturalnym profesorem a jego kuzynką, panią Kałużyńską, nie było nic, nic, nic absolutnie wspólnego, aż naraż jedna kropla gorzkości i nastąpiło mistyczne zbratanie.

W takich momentach można odczuć dopiero, co ludzi, mieszkających na jednej ziemi, wiąże w społeczeństwo.

W. PERZYŃSKI.

#### PRZY KONSULTACJI.

- Sypiasz pan dobrze?
- Nie najgorzej.
- Apetyt jest?
- Z apetytem pół biedy.
- Jak z żołądkiem?
- Ujdzie.
- Lekarz w zamyśleniu:
- Hm, przeciwko temu wszystkiemu trzeba będzie zaradzić.



Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży TYLKO W OPIATKACH, opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR”, Marszałkowska 23.

Administracja „Tygodnika Ilustrowanego” uprasza PP. Prenumeratorów, mających do odstąpienia I-szy kwartał r. b., o łaskawe zgłoszenie się do kantoru „Tygodnika” Zgoda 12.

Z. GRENDYSZYŃSKA, Lek.-dent. Kopernika 12.

**BRACIA HEMPEL** **GMACH TEATRU** **WYROBY SREBRNE**  
pod filarami



## BIBLIOTECZKA ROLNICZA.

□□

Z uznaniem podnieść należy wytrwałość redakcji popularnego wśród naszych sfer rolniczych książkowego miesięcznika rolniczego „Biblioteczki Rolniczej”, która mimo trudnych warunków pracy swej nie zawiesiła, lecz w dalszym ciągu bez przerwy zasilając rolnicze piśmiennictwo zawodowe cennymi pracami specjalistów. „Biblioteczka Rolnicza” wychodzi pod redakcją W. S. Zielińskiego od r. 1911, a na dorobek jej za okres pięcioletni składają się, jak dotąd, 54 wartościowe tomy, o czym świadczą przychylnie oceny fachowców w pismach rolniczych, jak również nazwiska zasłużonych na niwie rolniczej autorów, którzy prace swe w „Biblioteczce Rolniczej” drukują.

W roku wojny mamy do zaznaczenia następujące wydawnictwa „Biblioteczki”, nadesłane do naszej Redakcji: „Woda jako źródło siły w gospodarstwie rolnem”, napisał inż. Mokryński. „Znaczenie wapna w rolnictwie i nawozy wapniowe”, napisał prof. A. Karpiński. „Wyrób win owocowych”, napisał J. Drewko.



Poświęcenie taniej kuchni K. O. przy ulicy Junkierskiej.



DOLINA I UJŚCIE RZEKI ISONZO.

## KURJER LITERACKI.

□□

STANISŁAW ROSŁONIEC: „Polskie bydło czerwone (czerwono-brunatne podzare)”. Szkic monograficzny z 7-ma ilustracjami. Wydawnictwo słuchaczów Kursów przemysłowo-rolniczych w Warszawie. Warszawa, 1915. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 60. Cena kop. 60.

DR. JAN PORAY: „Kilka uwag w sprawie Wydziału teologicznego na uniwersytecie warszawskim”. Warszawa, 1915. (Drukowane jako rękopis). Str. 5. Cena kop. 30.

— Nakładem księgarni G. Gebethnera i S-ki w Krakowie wydane zostały następujące utwory Adama Mickiewicza: „Pan Tadeusz” (cena kop. 40); „Dziady”, część I, II, III i IV, z objaśnieniami Piotra Chmielowskiego i wstępem A. S. (cena kop. 60); „Dziady”, część III, z objaśnieniami Piotra Chmielowskiego (cena kop. 40).

— Jako odbitka z „Wiadomości polskich” wyszła z druku w Piotrkowie broszura Feliksa Przysieckiego o „Rządach rosyjskich w Galicji Wschodniej”. Str. 74.

— W drukarni państwowej pod zarządem Departamentu wojkowego N. K. N. wydano „Piosenki strzeleckie”: „Marsz ułanów”, „Piosenka o Belinie”, „O mój rozmarynie”, „Przyjechali trzej ułani z wojny” (cena po kop. 6).

— Nakładem Departamentu Wojkowego N. K. N. wydano w Piotrkowie dokumenty dotyczące „Legionów polskich”, od 16-go sierpnia 1914-go do 16-go sierpnia 1915-go. Str. 119. Cena kop. 75.

„Zarys psychologii praktycznej”. Według dzieła A. Eymieu: „Le gouvernement de soi-même” opracował ks. Jan Piotrowski. Warszawa, 1915. Wyda-

wnictwo księgarni nakładowej M. Szczepkowskiego. Str. 141.

„Zbiór obowiązujących przepisów sanitarnych”. Wydawnictwo Komisji rozpowszechniania wskazań zdrowotnych Komitetu sanitarnego warszawskiego. Warszawa (1915). Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 257 i XIII. Cena kop. 75.

LEON OSTASZEWSKI: „Zarys zoologii”, z 14 tablicami, 18 rysunkami. Warszawa, 1915. Wydawnictwo M. Ostaszewskiej i S-ki. Cena kop. 90.

DR. MED. ZYGMUNT MONSIORSKI: „15 lat ginekologii w szpitalu wojskim w Warszawie (1899—1915)”. Warszawa, 1915. Str. 74.

DR. ZOFIA BICHNIEWICZ: „Materiały do chemoterapii twardzieli”. Dodatek do „Medycyny i Kroniki Lekarskiej”. Praca wykonana i wydana z udziałem zapomogłi Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1915. Str. 31.

STEFAN GACKI. „Wesoły portret smutnego Koltuna i inne opowiadania. Warszawa, 1914. Nakładem księgarni Wincentego Jakowickiego.

CECYLIA WALEWSKA. „Zapomnisz?”. Nowele-odczucia. Warszawa, 1914. Nakładem księgarni Wincentego Jakowickiego.

ALICJA SZAMOTA. „Popielisko”. Powieść współczesna. Warszawa, 1914. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Cena rb. 1 kop. 60.

ARTUR GRUSZECKI. „Przebudzenie”. Powieść współczesna. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Cena rb. 1 kop. 80.

□□

## ZADANIA I ZAGADKI.

## SZARADA

(niby zawikłana, a naprawdę łatwa).

Jedna z *piątych* smutna srodze, *pierwszą drugą* szła po drodze.

— Czemu pani taka smutna?

— Ta noc była ach, okrutna! Śniły mi się *drugie trzęcie*; chociaż w sny nie wierzę, przecie *drugą pierwszą* widm... nie żarty!

Budzę się i *czwartą czwartą* nad mem łóżkiem stał ze świecą.— „Nino, spójż daj z tą hecą!” — prawi— „placzesz jednocześnie i wyprawiasz krzyki we śnie!

Widząc jednak moją błądź, czułości serca czyni zadość, trzeźwi, koi me obawy, choć staruszek, żywy, zwawy, we współczucia wpadł zapaly... Jak ów z biblii znany *cały!*

□□

## DO PRZESTAWIENIA SYLAB.

Był to salon wykwintny,  
Kłamstwu nie dogodzę,  
Gdy rzekne, że *wprost* perski  
Leżał na podłodze.  
Na kanapie siedziały  
Dwie *uspa*, obie panny,  
Wkoło rozmów szemrania  
I śmiech nieustanny.  
Bowiem obie dowcipne,  
Przytem są w estymie,  
Iż noszą jednakowe  
Historyczne imię.

## ZAGADKA KRAJOZNAWCZA.

*Wprost* z dwóch sylab—te prawde wyjawiam wam  
z duszy,

Znajdziecie u pudełek lub u kapeluszy.

*Wspak*—zdejmijcie przecinek nad jedną literą,

To osada w Siedleckim paradna dopiero!

Ongi miasto, dziś zwłaszcza biedę tam znajdziecie.

Zagadka nie zawiła i nie trudna przecie.

□□

## ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z № 44.

REBUSA 16. Katarynka przestała nam kołać nerwy:

SZARADY: Marcepany.

## SMAKOSZ.

— Bójcie się Boga, człowieku, jak można pić de-naturat?

— Ja też pijam tylko stary, z roku 1912-go.

□□

## BÓL OBUSTRONNY.

Ojciec do Kazia, który coś zbroił:

— Wierząj mi, że mnie serce będzie bardzo bolało, ale cię ukarać muszę.

— Jak mnie papa ukarze, to mnie będzie jeszcze bardziej bolało, tylko w innym miejscu!

□□

## W KOSZARACH.

— Powiedz mi Abramglik, dlaczego żołnierz powinien być posłuszny?

— To prawda, panie lejtnancie; dlaczego żołnierz nie miałby być posłuszny?

□□

## NA WSZELKI WYPADEK.

Nadszarpnięty finansista do narzeczonego córki w przeddzień ślubu:

— Nie jestem w stanie określić panu napewno, czy będę mógł corce dać posag lub nie. Na wszelki wypadek urządzę się pan jakdybyś się żenił z miłością.

□□

## POTĘGA KAPITAŁU.

Dorobkiewicz do portyera hotelowego, głośno, aby go wszyscy w restauracji słyszeli:

— Portyer, proszę przynieść mój kapelusz z pod nrów 36 i 37-go na drugim piętrze i z salonu przyjeść na pierwszym.

□□

## REBUS 17.





WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

## W WARSZAWIE.

ROK 1794.

CZĘŚĆ III. 34)

— Rycerz jucha, przed pudlem zmiatał!—krzyczeli, nie kępując się niczem.

— A niech ci Carowa nowe portki kupi, na nic też zapaskudził!

— Zmykajmy, nic tu już po nas! — dał cichy rozkaz Konopka.

Śmiech słycać było jeszcze w bramie; jak burza, wylewał się na ulicę.

— Zubow dostanie ze złości kolki, a hecmajster kije.

— To im obu ulży! Ale któż to sprawił?—zdumiewał się rotmistrz.

— Są, których się trzymają takie psie figle—śmiała się Andzia.

— Imaginujcież sobie ich powrót z hecy!

— Boże, omal nie pękłam ze śmiechu! Zubow się oganiał wachlarzem! Ha! ha! Dopiero wezmą ich na ozory! Szambelanowa pokazała nogi po pas! Ha! ha!

— Cicho, siadajmy w sianie i umykajmy. Tylko patrzeć, jak się tutaj zjawi Baur ze swoimi pacholkami. Nie trzeba dawać nawet pozorów.

— Ale ten uczony pudel wart, ile waży!—unosił się rotmistrz.

— Hej! salata, wal na Stanisławów do gospody Kobylińskiego!

Konopka chciał do „Indyi” na Podwale, lecz Andzia kładła mu w uszy swoje racye, aż w końcu ustąpił.

— Tam się zbierają dezarmowani, tam mają kwaterę werbownicy moskiewscy i zbiera się różne pospólstwo. Warto ich przy okoliczności zlustrować.

— Tylko jedna przeszkoda—wziął niespodzianie głos Piotrowski.—Waszmoście przybrani jakby na dworskie ansamble, a tam lepiej dawać pozór obiboków lub zgoła ultajów. Nie zwróci niczyjego baczenia. Jaż się na tem rozumiem!

— Racya! Jedźże na Stare Miasto!—zeterminował prędko Konopka.—Znajdę w domu odpowiednie szaty na taką uroczystość.

Mieszkał w Rynku, na wprost Ratusza, w Barsowej kamienicy, na czwartym piętrze. Wpadli tam, jak burza, i Andzia, znalazłszy się w zacisznych stancyjkach, dziwnie przycichła i niepomiernie się zdumiała. Ani bowiem mogła się spodziewać należeć taką czystość i porządek. Przeglądała kwaterę w najdrobniejszych szczegółach, dając wyraz coraz większemu zdziwieniu.

— Mieszka, jak kleryk, albo panna na wydaniu!

Zastłony przy oknach w niebieskie paski, takież pawilon nad łóżkiem, kobierce, garnczki z kwiatuskami na oknach, kanarek w klatce,

na ścianach, obitych tyftykami, kolorowe kopersztychy, wystawujące tkliwe sceny berzerów, sprzęty w schludnych pokrowcach, na kominie i stolikach pełno różnych cacek; znalazła nawet w jakimś schowku cukry i łakocie, któremi zaczęła się łakomie opychać. Wreszcie wsadziła ciekawy nosek między stopy książek.

— To nie przy mnie pisane!—odrzuciła ze wzgardą jakieś francuskie dzieło i, dojrząwszy na ścianie bałabajkę, wzięła na niej brzdąkać i przyśpiewywać wielce tkliwą piosenkę, z czego przeszła raptownie na wściekłego kocaczka.

Wyszli na to już przebrani zgoła nie do poznania.

— Konopka, masz minę zakrystyana od fary, a rotmistrz patrzy w tej czui pstroka-tej na świniarza z Węgrowsa!—zdecydowała, wybuchając śmiechem.

W drodze, zjeżdżając Bednarską, szepnęła nieśmiało do Konopki:

— Przyjdę do ciebie... Masz taką śliczną kwaterę!—Wparła się w niego lubieżnie.

— Owszem. A jeśli mnie nie zastaniesz, klucz zawsze leży pod słomianką—odparł, nie bacząc na jej umizgi. Używał jej na postugi sprzysiężenia i cenił wysoko, lecz na jej urodę, inklinację i osobę patrzył z wyniosłą awersją człowieka dalekiego od przygodnych amarów. Poczula to boleśnie.

— Z Kaczanowskim to człowiek wiedział czego się trzymać!—wybuchnęła rozżalona.—Waćpan jesteś, jak ten śnieg—biały i lodowaty. Ale i na takie śniegi wylewają pomyje!—dodała mściwie.

— Szezna, lecz się nie zbrukają. Dajmy spokój dziecinny dyskursionom, toć się znamy, jak łyse konie. Powiedz mi o Piotrowskim—zajrzał jej w oczy.—Tylko wesołość zdobi cię prawdziwie. Uwielbiam cię taką.

Udobruchana, jęła dawać prawdziwy konterfekt Piotrowskiego. Jechał z rotmistrzem osobno, z czego zrozumiał, jako to człowiek o burzliwej przeszłości, a nie bez plejzerów na swojej reputacji. Gorący wyznawca systematów rewolucyi francuskiej, przyjaciel ludzkości, a zarazem zabijaka, gotowy na każdy azard i awanturę, kosterka i pijus

— I cieszy się szczególnym mirem między alianckimi oficerami, nie mają przed nim sekretów. W zręcznych obrotach i fortelami przeszedł Kaczanowskiego.

— Rada wspominasz kapitana, ugrzązł ci w pamięci?

— Pewnie! A jak mi obmierźnie swoboda, to się machnę za niego i basta.

— Powiadają: on był z Płocka, ona zaś też jeno trzy nitki na krzyż miała!

— Niech cię głowa nie boli! Da on sobie radę w każdej przygodzie: to prawdziwy chłop, nie takie Bóg wie co, jak drudzy—zdeklarowała wzgardliwie.

— Bija co dnia, jeść dawa raz w niedziele, a co nockę przypuszcza do łaski!—drwił.

— A niechby nawet bijał! Milszy mi taki od wszystkich!—pofolgowała sobie, wylewając w podrażnieniu potok nieprzystojnych epitetów na swoich gachów.

— Fortunna to dla mnie okoliczność, że ci nic nie winien — szepnął przy wysiadaniu.

Mimo wczesnej pory, gospoda Kobylińskiego zdała się już być przepełniona. Widno i rojno było w ogromnym domostwie, świeciły wszystkie okna, huczała muzyka, tańce i wesołe pokrzykiwania.

— Piotrowski, bierz waćpan komendę i prowadź!—rozkazał Konopka.

Ruszyli do wielkiej izby, pełnej czerwonych brząsków ognia, gwaru i ludzi. Na ogromnym kominie w rogu, pod zwisającym okapem buzował się tęgi ogień, obracały się różny, nadziane całymi ćwierciami mięsów, i skwierczały patelnie wśród garów i saganów. Zapach kapusty i prażonych kielbas brał nad wszystkim górę. Na bocznej ścianie, za szynkwasem, okratowanym aż po pułap, widniały beczki, antały, miedziane konwie do piwa, stopy cynowego sprzętu i zwoje kielbas. Królowała tam jejmość o nadmiernie wzdętych piersiach, tubalnym głose i obwisłym licznymi kondygnacyami obliczu. Przy długich stołach było już gęsto i niezgorzej przedzwaniano kieliszkami. Gospodarz, o gębie krągłej i jakby zrumienioną tłustością oblanej, usadzał gości, czasem z kimś przepijał i zarazem dawał baczenie na kuchtów i stołowe panny, roznoszące jadła i napitki. Oko miał niechybne i prędkie objęcie, gdyż, mimo przebrania wchodzących, potraktował ich wyróżniająco, zapraszając do paradnej sali. Częstował nawet izbą na pięterku.

— Karnawałowych emocyi pragniemy zażywać! — wymówił się Piotrowski i, zajmawszy miejsca w kącie za sporym stołem, kazał po dać regestr półmisków.

Sala, w której zasiedli, pomimo wielkości, była przepełniona ludźmi, gwarem i tańcami. Na galeryjce, przyczepionej do ściany, różni muzykanci. Kilkanaście par tańcowało zapamiętałe pod okiem metra, starego pijaczyny w kusym fraczku, brudnej peruce i z nosem grzecznie rozkwitłym, który, wywijając białą laseczką, czuwał nad przystojnością manier, nauczając zarazem.

— Nieostrugany drągał z aspana—strofował, nie przebiegając w słowach—przypinasz się do tancerki jakby do ssania. Jezu Nazareński, dryga pośladekami, jak na ten przykład ciele! Z życiem, mości panowie, a godnie! Z życiem!

I, poirytowany ich nieudolnością, wyrwał jakąś pannę z miejsca, puścił się z nią na czele i, bijąc hołubce pałkowatymi nogami, zaśpiewał ogniście:

— Rach, ciach, ciach, od komina! Nogi w łapciach, durna mina! Rach, ciach, ciach!

I poprowadził mazura przy niemałych aplauzach powszechności.



WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI:

## Wróg wojny.

20)

— Teraz... Niewinne pocałunki. W trzeciej osobie. No, niech ucieka, bo skoro na niego czekają, nie wypada się spóźnić.

Malwicz czekał już na Malickiego w kawiarni. Siedział przy stoliku z ponurą miną i tak zamyślony, że nie spostrzegł wejścia Malickiego.

— Cóż pan Wiśniakowski? — zaczął się gorączkowo dopytywać Malicki.

— Nie zastaliśmy go w domu i zostawiliśmy mu bilety.

— Dlategoś taki smutny—pomyślał złośliwie Malicki.

— Ciekaw jestem, kogo on poprosi na sekundantów—odezwał się głośno.

Malwicz skrzywił się i ruszył ramionami.

— Przecież z tego wszystkiego nic nie będzie.

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego! Czy pan z księżycą spadł? Niemcy są pod samą Warszawą. Jeśli tu zaczną walić z armat, a Moskale im odpowiadają, to chyba nie będziecie o pojedynkach myśleli. Psiakrew!—zaklął po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Czy myśli pan, że oni będą bombardowali miasto?

— A niby z jakiej dobrej racji nie mieliby bombardować?

— To okropne!...

— A wie pan, że już mnie o bombardowanie najmniej chodzi — wybuchnął nagle Malwicz.—Tylko to mi najzupełniej krzyżuje wszystkie plany. Zdawało się, że będzie można parę dobrych interesów zrobić, a tak...

— Do widzenia—odezwał się szybko Malicki. Egoizm Malwicza przejął go takim obrzydzeniem, że prosto nie chciał dłużej na niego patrzeć. Ale Malwicz zerwał się także z krzesła.

— Dokąd pan idzie?

— Do domu.

— I ja idę... Co tu będę wysiadywał.

— O, widzi pan?—odezwał się, ledwo wyszli na ulicę.

Na mieście znów zaczęły ukazywać się wozy z dobytkiem zbiegów. I właśnie taki jeden wóz zatrzymał się przed kawiarnią. Otoczyła go spora gromadka ludu. Malwicz od razu się w tłum wmieszał, Malicki pozostał w tyle, ale zatrzymał się machinalnie, czekając na Malwicza.

Malwicz wrócił po chwili.

— Z Konstancina.

— Z Konstancina — powtórzył przeciągle Malicki.—Ale tam się przecież nie biją jeszcze.

— Nie biją się, ale bitwę już słyszą. O, widzi pan!—wykrzyknął nagle Malwicz, zatrzymując się i wskazując ręką na niebo.

Widać było lunę.

— O, do dyabła!—syknął Malicki.

— Zaczyna się ładna zabawa!—roześmiał się gorączkowo Malwicz.—Ja to już przeży-

wałem u siebie na wsi i przyznam się panu, że mam dość tych wrażeń. W którą stronę pan idzie?

— Na Koszykową.

— Idziemy razem. Ja zajdę do Wygodzkich.

Wieczór był posepny i mglisty, w ruchu przechodniów wyczuwało się gorączkowe podniecenie. Raz po raz napotykali dorożki, naładowane rzeczami.

— Widzi pan, jak Moskale uciekają?—roześmiał się Malwicz. Ale zaraz dodał poważnie:

— Swoją drogą, chciałbym, żeby udało im się obronić Warszawę.

— Z powodu pańskich interesów?—odezwał się ironicznie Malicki.

Malwicz nic mu nie odpowiedział. Doszli już zresztą do rogu Koszykowej, gdzie się rozstawali.

— W każdym razie, jeśli jutro będzie co od Wiśniakowskiego, to pana zawiadomię—rzucił mu na pożegnanie Malwicz.

Malicki rozstał się z nim z uczuciem prawdziwej ulgi. Czuł, że jeszcze chwila, a go-tów był mu palnąć jakąś impertynencję, tak go już zaczynał drażnić ten jego ordynarny egoizm. Zanosilo się Bóg wie na jakie przejścia, a pan Malwicz potrafił wyłącznie i tylko myśleć o swoich interesach.

— Dureń!—szepnął Malicki.

Od rogu Marszałkowskiej do domu miał tylko kilkadziesiąt kroków, ale nagle odeszła mu najzupełniej ochota powrotu do mieszkania. Tłuc się samemu po pięciu pustych pokojach i co? W tej chwili żał mu się zrobiło zerwania z Wiśniakowskimi. Tam przynajmniej miał usta do kogo otworzyć.

Lunę, która jaśniała za miastem, z Koszykowej było widać jeszcze lepiej. Malicki przystanął i począł obserwować niebo, starając się uświadomić sobie, w jakiej miejscowości się paliło. Na ulicy, mimo wczesną porę, panowała już pustka zupełna, jakby późno w nocy, i to powiększało uczucie grozy.

Doszedłszy przed swój dom, Malicki o mało nie wykrzyknął ze zdziwienia. Co u dyabła? Wszystkie okna na drugim piętrze w mieszkaniu, które zajmował, były jasno oświetlone. Nie mógł się mylić przecież. Po lewej stronie okna były jego. Przed wejściem na górę zajął do stróża.

— Kto tam światła pozapałał?

— A bo tam z panem jedni państwo będą mieszkali.

— Jacy państwo?

— Ja nie wiem. To pan Tłuszcz ich przyprowadził... Tu, niedaleko z pod Warszawy... Tam u nich już bitwa była podobno. Pan Tłuszcz jest na gorze.

Dzielenie mieszkania z jakąś rodziną, wobec planów erotycznych Malickiego, wcale mu nie było na rękę, ale na razie wszystko się tak krzyżowało, nawet możliwość robienia jakichkolwiek planów wydawała się tak niepewną, że o tem już nie myślał, przeciwnie, ucieszyło go to raczej, że nie będzie osamotniony zupełnie.

Usłyszawszy, że Malicki otwiera drzwi, Tłuszcz wybiegł do przedpokoju na jego spotkanie.

— Drogi panie, wpakowałem tu panu

współlokatorów, ale trudno, przez kilka dni musicie się mieścić razem. Zresztą bardzo mili ludzie. Panu jeden pokój wystarczy. Zajmie pan ten gabinet. Niech się pan nie gniewa, że się tak sam rozporządziłem.

— Ależ panie!...

— Zaraz was poznam. Józio!—krzyknął do sąsiedniego pokoju.

W drzwiach ukazał się niepozorny człowieczek, drobny, szczupły, brunet z krótko przystryżoną bródką, w złotych okularach na oczach.

— Mój kuzyn Pęchowski — przedstawił go Malickiemu Tłuszcz.

Malickiego ogarnęło lekkie zdumienie, tak dalece ów Pęchowski, o którym słyszał jako o zamożnym obywatelu ziemskim, nie miał nic wiejskiego typu w sobie. Raczej można go było wziąć za zabiedzonego nauczyciela czy urzędniczynę. Był mocno zakatarzony i mówił zachrypłym, przyciszonym głosem:

— Przykro mi, że narażamy pana na kłopot.

— Ależ panie!—zaprotestował żywo Malicki—to chyba raczej ja mogę państwu kłopot sprawiać.

Pęchowski zaprzeczył. Z tonu, jakim to uczynił, można było poznać, że był człowiekiem niesłychanie ugrzecznionym, wobec czego Malicki, chcąc być również grzecznym, raz jeszcze powtórzył swoje obawy i zaczęli się certować o to, kto komu większy kłopot może sprawić, tak że trwałoby to niewiadomo jak długo, gdyby im Tłuszcz nie przerwał:

— Ależ dajcie spokój. Pomieście się doskonale. Panu Malickiemu wystarczy ten gabinet, a wy macie resztę mieszkania.

Gabinet był obszerny, przynajmniej z półtora raza większy od pokoju, jaki Malicki miał u Wiśniakowskich, tylko nie było w nim na czym spać. Pewne puste miejsce pod ścianą świadczyło, że z pokoju usunięto sofę. Malicki zresztą pamiętał doskonale, że stała tam sofa bardzo ładna, wyściełana skórą. Widocznie zagarnęli ją przybysze. To go od razu trochę niezyczliwie usposobiło i do Tłuszcza i do państwa Pęchowskich. Z niewyraźnym uśmiechem spojrzął na Tłuszcza.

— Ale na czym ja będę spał?

— Każemy panu wstawić łóżko — zapewnił go pośpiesznie Pęchowski.—Mamy służbę i oczywiście cała jest do pańskiego rozporządzenia.

— Niech panu Józio opowie, co oni tam na wsi przeżyli... Straszne rzeczy! — odezwał się nagle Tłuszcz, jak gdyby chcąc zmienić temat rozmowy.

I Pęchowski zaczął od razu mówić szybko, z gorączkowym podnieceniem człowieka, który nie zdążył jeszcze ochłonąć z przeżytych wrażeń. Było to typowe opowiadanie, jakich Malicki z pół tuzina już słyszał. Więc przedewszystkiem kilka dni gorączkowego napięcia. Ciągłe strzały, luno po nocach, opowiadano, iż w miasteczku kozacy urządzili pogrom Żydów; potem jednego dnia, to znaczy przedonegdaj, strzelanina naraz ucichła i już do wieczora było spokojnie. Na drugi dzień także spokojnie, dopiero wieczorem przybiegł z młyna chłopak z wiadomością, że w sąsiedniej wsi są Niemcy. No, ale nic. Koło jedenastej,



kiedy miano iść spać, zajechał patrol kozacki, ze dwudziestu ludzi z oficerem; trzeba było im dać jeść, ale za to oficer uspokoił kobiety, że można bezpiecznie siedzieć, bo bitwy już nie będzie. Pierwszy raz wszyscy spokojnie położyli się do łóżek. A tu rano, o jakiejś szóstej, gwałt... Co takiego? W ogrodzie ustawiają armaty. I pięć minut nie upłynęło, a tu jak nie zaczęła walić: łup, łup, łup! a potem zaraz mitraliezy — trrr! — zawarczał Pęchowski, rozczapierając palce u obu rąk i szczerząc zęby. — I sądny dzień. Literalnie pod ogniem trzeba było uciekać. Kule to tak padały koło nas, panie — zakończył i szybko kilkanaście razy stuknął zgiętym palcem wzdłuż biurka. — Cud, że się wyszło cało, cud...

Westchnął i po chwili zaczął gwałtownie kichać.

— I w dodatku dostaliśmy jeszcze najokropniejszego kataru. Także los!

Wobec ogromu niebezpieczeństw, jakich Pęchowski uszedł, ta ostatnia jego pretensja losu wydała się już Malickiemu przesadną. Pęchowski spojrzał na niego zażawionemi oczyma.

— Czy pan nie wychodzi jeszcze na miasto? Gdyby pan wychodził, bardzobym pana prosił o kupienie mi kilku proszków aspiryny.

— Ależ owszem — zaofiarował się chętnie Malicki.

Wyszli razem z Tłuszczem.

— Bardzo mili ludzie — odezwał się do Malickiego na schodach Tłuszcz. — Jestem przekonany, że się doskonale zgodzicie.

Malicki, otrząsnawszy się nieco z pełnego przygnębienia nastroju, mniej zaczął cenić towarzystwo w mieszkaniu. Oczywiście wszelkie piękne projekty przyjmowania Mani już same przez się upadały. I uczył lekki żal do Tłuszcz. A pozatem drażniło go usunięcie sofy z pokoju.

— Pośpieszyli się — myślał z przekąsem. Po chwili zwrócił się do Tłuszcz:

— Więc ja jutro będę w drukarni.

Miał właśnie odbyć konferencję z drukarzem w sprawie pisma.

Tłuszcz machnął z rezygnacją ręką.

— Niech się pan wstrzyma. Musimy poczekać, aż się sytuacja wyjaśni.

— A jak pan sądzi: wezmą nas, czy nie?

— Czy ja wiem? — mruknął zniechęconym głosem Tłuszcz.

— No, ale toby przecież tak gładko nie poszło.

— Co?

Malicki wracał do swojej myśli, która nie przestawała go prześladować.

— Nie obeszloby się bez bombardowania miasta.

— Może i to będziemy musieli przeżyć — odparł Tłuszcz.

Malickiego ciarki przeszły. Do zdania Tłuszcz przywiązywał wielką wagę, a ponieważ Tłuszcz był bardzo w przypuszczeniach powściągliwy, więc jego „może” równało się prawie kategorycznemu twierdzeniu.

Powróciwszy z aspiryną na górę, Malicki poznał rodzinę pana Pęchowskiego. O ile Pęchowski sam był niepozorny, o tyle żona jego okazała. Blondyna, wysoka, dość tęga, bardzo przystojna i nawet zupełnie świeżo wyglądająca, mimo liczego potomstwa. Dwie najstarsze córki były już prawie dorosłymi pannami. Tak samo wysokie i ładne, jak i matka. Malicki patrzył na nie z przyjemnością. Wogóle Pęchowscy mieli sześcioro dzieci: trzy dziewczęta i trzech chłopców. Tego wieczoru wszystko to było pomęczone i bez humorów. Malicki przesiedział z nimi chwilę w jadalni przy zaimprovizowanej herbatce. Pęchowska zarzuciła go pytaniami o nowiny polityczne, nic ciekawego jednak nie umiał jej opowiedzieć. Z dalszej rozmowy okazało się, że Pęchowska doskonale знаła Broniewiczową i zaraz nazajutrz miała zamiar ją odwiedzić.

— A pan często ją widuje?

— Byłem u niej kilka dni temu.

— Prawda, jaka miła kobieta?

— Owszem — odparł konwencyonalnie Malicki.

Rozmowa się urwała. Pan Pęchowski znów począł gwałtownie kichać i na to hasło, przypominające o cierpieniach głowy rodziny, Malicki podniósł się z krzesła.

— Państwo pewno pomęczeni.

— Józio takiego kataru dostał.

— I ja także mam katar — odezwała się najmłodsza latorośl Pęchowskich, chudy chłopczyk o mizernym wyglądzie.

— A ja nie, ani trochę! — wykrzyknęła siedząca obok niego panienka.

Malicki mógł zauważyć, że męska linia Pęchowskich prezentowała się znacznie gorzej, niż żeńska. Chłopcy wdali się w ojca i odziedziczyli po nim widocznie skłonność do przeziębienia.

— Pański pokój już gotów. Gdyby panu było czego potrzeba, niech pan dzwoni na służbę.

Malicki miał ochotę zaraz zadzwonić i powiedzieć przez służbę państwu, że wstawianie dziecinnego łóżeczka do pokoju, gdy się zabrało porządną kanapę, zakrawało na kpiny. W dodatku zamiast koldry dali mu jakiś cieniućki kocik i to go przejęło największym oburzeniem. Musiał się paltem nakrywać, ale postanowił zaraz nazajutrz podziękować Tłuszczowi za tego rodzaju gościnność. Spojrzał na zegarek i zdziwił się. Było już kilka minut po jedenastej. Wieczór zbiegł nieoczekiwanie szybko. Ledwo się zaczął rozbierać, rozległo

się pukanie do drzwi i równocześnie trzykrotne kichnięcie. Dzięki temu odrazu mógł wiedzieć, że to Pęchowski.

— Proszę! — krzyknął, naciągając z powrotem pośpiesznie marynarkę.

Pęchowski miał coś w ruchach i w sposobie mówienia, a zwłaszcza w ugrzeczności, co Malickiemu żywo przypominało pana Wiśniakowskiego. — „A też mam szczęście do takich ludzi” — nie mógł się powstrzymać od melancholijnej refleksji.

— Chciałem na to zwrócić pańską uwagę — odezwał się Pęchowski z niewyraźnym trochę uśmiechem, wskazując palcem w kąt pokoju.

Malicki spojrzał szybko we wskazanym kierunku.

— Na co?

— Widzi pan, żona chciała sobie wziąć gilzę od szrapnela na pamiątkę... tam u nas pełno tego leży. No i niech pan sobie wyobrazi, podniosła niewystrzelony ładunek. Ja pojęcia nie miałem, że to jechało z nami do Warszawy. Przecież lada silniejsze wstrząśnięcie i wszystkich nas mogło rozszarpać na kawałeczki. Cud, poprostu cud, że się obyło bez wypadku.

Malickiemu zabrakło słów na odpowiedź.

— W naszych pokojach dzieciaki się kręcą, służba — ciągnął zakatarzonym głosem Pęchowski — więc bałem się zostawiać. U pana może sobie spokojnie noc przespać, a jutro się wyrzuci.

— Dziękuję panu! — wybuchnął Malicki.

Pęchowski spojrzał na niego z dobrotliwym uśmiechem.

— Czegoż się pan boi?

— A niech mi to w nocy wybuchnie.

— Przecież samo nie wystrzeli.

— Ostatecznie skoro się pan obawia, mogę zabrać — odezwał się po chwili Pęchowski, kładąc ironiczny nacisk na wyrazie „obawia” — ale możeby już lepiej było tego nie ruszać.

I ponieważ Malicki nic nie odpowiedział, zakończył, tłumiąc ziewanie:

— Ma pan rację... lepiej nie ruszać. Dobranoc.

(DCN)

W Grudniu r. b. wyjdzie z druku nowe krytyczne, zupełne wydanie

## POEZJI MARYI KONOPNICKIEJ,

dokonane pod redakcją prof. Jana Czubka i zawierające pierwszy zbiór wszystkich poezji znakomitej Poetki. Cena ośmiu tomów Poezyi wynosić będzie rb. 18, kor. 40. *Nadto ukaże się w ograniczonej liczbie 50 egzemplarzy numerowanych wydanie zbytkowne tychże Poezyi, na wykwinnym papierze czerpanym, w większym formacie. Cena wydania tego wynosi za ośm tomów rb. 36, kor. 80. Przedpłatę na wydanie zbytkowne przyjmują księgarnie Gebethnera i Wolffa.*

Prenumerata **Tygodnika Illustrowanego** rocznie: w **Krakowie** 24 k., we **Lwowie**: rocz. rb. 13, półrocz. rb. 6 k. 50, kwart. rb. 3 k. 25, w **Poznaniu** 24 m., z przes. poczt. 30 m. **Za granicą** pocztą: rocz. rb. 13, półrocz. 6 k. 50, kwartalnie rb. 3 k. 25. Cena numeru pojedynczego 20 kop., w **Paryżu** w kioskach bulwarowych 80 ct.

Agentury **Tygodnika Illustrowanego**: w **Lublinie** Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Krak.-Przedmieście, w **Lodzi**: Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 87 oraz Biuro „Promień”, Piotrkowska 81. W **Krakowie**: Księgarnia G. Gebethnera i Sp., Rynek 23, we **Lwowie**: Gubrynowicz i Syn, plac Katedralny 1. 9.

W **Warszawie** **kantor redakcji Tygodnika Illustrowanego**, Zgoda 12. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą.

Główna agentura na **Amerykę**: **The Polish Book Importing Co Inc. New-York**, 83 Second Avenue.

Ogłoszenia przyjmują wszelkie agentury, oraz: **Biuro Dzienników Ungra**, Wierzbowa 8, **L. i E. Metzl & S-ka** w **Warszawie**, Piotrogradzie i **Moskwie**.

Redaktor: Dr. JÓZEF WOLFF.

Zastępca redaktora: ARTUR OPPMAN (OR-OT).

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w **Warszawie**, Maryensztad 8.